

Ks. KRZYSZTOF ŚNIEŻYŃSKI

Czy potrzebne są dowody na istnienie Boga

Wydawnictwo WAM, Kraków 2010, 124 s.

Autor omawianej książeczki znany jest doskonale w środowisku filozoficznym jako znawca filozofii Kanta (zwłaszcza przedkrytycznej) oraz współczesnych nurtów teologii. Tytuł zbioru jest intrygujący, budzi bowiem oczekiwania na uzyskanie odpowiedzi w sprawie niezwyklej wagi dla filozofii religii. Czy na pewno jednak odpowiedź ta pada?

Książka ks. Śnieżyńskiego składa się z siedmiu „częstek” odpowiadających czterem omawianym zagadnieniom. Trzy z nich sformułowane zostały w postaci pytań: (2) Jak wiedzieć, kim jest Bóg? (3) Komu są dziś potrzebne „dowody” na istnienie Boga? oraz (4) Czy religii potrzebna jest filozofia? Tylko temat pierwszej „częstki” sformułowany został nie jako pytanie, lecz postawiony został w postaci tezy: (1) Człowiek jako „coś więcej” niż byt. Przyznaję, że rozprawka pierwsza wzbudziła moje wątpliwości z dwóch powodów. Po pierwsze, wyraźnie odbiega od lekkiego stylu, jaki charakteryzuje pozostałą część książki, po drugie, wydaje się daleka od niej również tematycznie. Zdaję teraz jedynie sprawę z wrażenia, jakie powstało podczas samej lektury, z perspektywy całej książki, temat pierwszego eseju wydaje się uzasadniony. Zawarte bowiem w tytule pierwszego eseju „więcej”, jeżeli dobrze rozumiem intencję autora, w ogóle otwiera perspektywę, w jakiej możliwe jest postawienie wszystkich dalszych pytań o Boga. Nie wiem jednak, czy nie determinuje też odpowiedzi, jakie sformułuje autor?

Wreszcie należy zwrócić uwagę na zasadniczy powód różnicy między częstką pierwszą a resztą pracy (chodzi o odmienną stylistyczną, meryto-

ryczną, nawet retoryczną). Wyjaśnienie znajdujemy w przypisie, na stronie 31, na której rozpoczyna się esej drugi: „Jest to tekst pierwszego otwartego wykładu z cyklu ‘Filozoficzne spotkania u Urszulanek’ [...]. Ze względu na zróżnicowane (w większości ‘niefilozoficzne’) audytorium zarówno sam wykład, jak i jego publikacja musiały przybrać formę popularną...”. Informacja ta odnosi się również do pozostałej części książki. Mamy więc (poza początkowym fragmentem) do czynienia z książką będącą zapisem popularyzujących tematykę filozoficzno-religijną wykładów, nie zaś z opracowaniem akademickim. Warto zwrócić uwagę, że jest to popularyzacja niezwykle udana. Po „ciężkim” rozważaniu wstępnym czytelnik wkracza na obszar, wcale nie mniej ważki, ale z pewnością zajmująco opowiedziany. Wskaże tylko na niektóre poruszone tam wątki.

Ilekcję słyszymy „dowody na istnienie Boga”, pierwsze skojarzenia, jakie się nasuwają, z pewnością kierują nas w stronę św. Tomasza z Akwinu (być może w dalszej kolejności Anzelm), następnie zaś Kanta. Stereotyp, zgodnie z którym łączy się oczywistość pewnych tradycyjnych dróg myślenia o dowodach istnienia Boga z równie utrwalonymi sposobami zbijania ich zasadności, należy do kanonu utartego sposobu rozumienia filozofii religii. Na temat takich utrwalonych kolei myślenia o filozofii religii w książce ks. Śnieżyńskiego nie znajdziemy ani słowa. Wiele zaś jest tu o tym, jakie potrzeby budują zaufanie do „dowodów”, przede wszystkim zaś, komu przynoszą one ulgę.

Anachronizmem byłoby relację między Kantem i Anzelmem (a właściwie Kartezjuszem) rozumieć w sposób, w jaki ujmowałiby ją Marks, Freud czy Nietzsche. Jeżeli właściwie rozumiem autora, taka opozycja nie oddaje ani istoty rzeczy, ani obecnego stanu religii. Opozycja typu: irracjonalna religia (czytaj: „zabobon”) – naukowe poznanie (rozum), nie wyznacza etapów naturalnej ewolucji ludzkości. Doświadczenie obecności Boga nie zanika, ani nie słabnie; w każdym razie, ani od dowodów go nie przybywa, ani nie szkodzi mu ich krytyka. Winą za szablonowe ujęcie problematyki ks. Śnieżyński nie obarcza wyłącznie racjonalistów niewierzących, ale chyba znacznie bardziej racjonalistów wierzących. W ten sposób rozumiem treść podrozdziału zatytułowanego „Scholastyizm jako niebezpieczeństwo myślenia o Bogu”.

Kilkakrotnie podczas lektury tej książeczki przychodziło mi do głowy pytanie, kogo autor uważa za twórcę tej myśli? Nie chodzi o rzeczywiste pierwszeństwo w jej odkryciu, ale o to, kogo chcemy uznać za naszego nauczyciela w tej kwestii, za autorytet, na który chętnie się powołamy. Trudno było mi się uwolnić od myśli, że często chodziło o Kanta. Dla przykładu, sądzę, że generalne przekonanie o tym, iż dowody na istnienie Boga więcej mówią o swych

twórcach (bądź admiratorach) niż o dowodzonym Bogu, dałaby się z powodzeniem przypisać również królewickiemu filozofowi.

W tym kontekście można byłoby cennie uzupełnić ten wątek o uwagi, że nierzadko wskazywanie na autora jakiegoś dowodu może się po prostu nie udać. Są oczywiście takie ich wersje, które łączą się z nazwiskami nierozdzielnie (przykładem może być wspomniany już Anzelm czy Tomasz), ale są też inne, których twórcy pozostaną na zawsze anonimowi. Przypisać je należy raczej duchowi pewnej epoki; sposobowi myślenia, a przede wszystkim, sposobowi rozumienia zjawisk, jaki udzielał się szerokim masom ludzi zróżnicowanych podobnym doświadczeniem świata. W taki sposób interpretowałbym popularność dowodów fizykoteologicznych.

W każdym jednak przypadku zdolność do zakorzenienia się w doświadczeniu własnym jest rzeczą elementarną, decyduje ostatecznie o uczciwości naszej interpretacji, wykładni, czy wreszcie dowodu. Każdy z nich jest bowiem świadectwem autentycznego przeżycia, choć często wyrażonego w – zdawałoby się – abstrakcyjnym języku oderwanej spekulacji, która daje złudzenie istnienia uniwersalnego sensu, odnoszącego się do każdego czasu i każdego miejsca. Doświadczenie Kanta wydaje się w tym kontekście szczególnie. Autor zwraca tu na niezwykle ważną deklarację, jaką filozof złożył na osiemnaście lat przed publikacją *Krytyki czystego rozumu*: „Jest czymś ze wszech miar koniecznym przekonać się o istnieniu Boga, ale nie aż tak znowu koniecznym, ażeby go dowodzić”.

Dowody – a mogą być bardzo różne – „bardziej mówią o nas samych, o naszym osobistym podejściu do życia, niż o tym, czego mają rzekomo dowieść – o istnieniu Boga” (s. 59). Powtarzam te słowa, ponieważ przyjęcie tej perspektywy pozwala dopiero właściwie odnosić się do kwestii dowodów. Odpowiedź na pytanie „komu dowody służą” okazuje się więc hermeneutyczną wykładnią motywacji i postaw ludzkich inspirujących do poszukiwania argumentów za istnieniem Boga (s. 58).

Być może jednym z najistotniejszych problemów podjętych przez Śnieżyńskiego jest pytanie „czy istnienie to najważniejszy problem w religijnym pytaniu o Boga?”. Wcześniejsze uwagi pozwalają domyślić się, że na pewno nie jest to problem jedyny, a z perspektywy filozoficznej raczej problem poboczny. Zgadzam się, z autorem, że kwestia dowodów tak bardzo zdominowała filozoficzną teologię, że niemal przesłoniła kompetencje wiary religijnej. Ateizm epikurejczyków – o czym dowiadujemy się choćby z dialogu Cyceirona *O naturze bogów* – nie polegał na negowaniu istnienia bóstw, ale na zaprzeczaniu istnienia boskiej opatrności. Wydaje się, że dla religijnej wiary

opatrność jest właśnie kluczowa, i to do tego stopnia, że wobec wolności wiary w opatrność można odłożyć na bok wysiłki dowodzenia koniecznego istnienia Istoty Najwyższej. Uczciwym rezultatem sporu toczącego się na styku wiary i teologii (filozoficznej metafizyki) musi być przyznanie, że zakresy ich kompetencji z natury swej są ograniczone i po prostu nie pokrywają się. Celem religii jest „niesienie pomocy człowiekowi tam, gdzie jego umysł wspiera go tylko częściowo” (s. 77) – Kant powiedziałby jeszcze mocniej – tam, gdzie w ogóle nie można już na niego liczyć.

Ta niesymetryczność uzasadniania bywa historycznym pierwszeństwem religii wobec filozofii. Ciągłą nieredukowalnością do zmieniających się, coraz to nowszych form naukowo ujmowanych sfer rzeczywistości. Nie zdumiewa w tym wypadku ostateczne postawienie tezy, że „religia żyje z własnych źródeł” (s. 94) – z czym trudno mi się zgodzić, przy zgodzie jednak, że religia „do swego istnienia nie potrzebuje filozofii” (tamże). Ta pierwotność, pierwszeństwo, źródłowa przedrefleksyjność może najczęściej stanowić również współcześnie usprawiedliwienie dystansowania się religii od filozofii. Tu jednak autor wypowiada jednoznaczną opinię: „refleksja nad religią wydaje się nieodzowna dla dobra samej religii” (s. 98). Natomiast nie zgadza się równie konsekwentnie na pojmowanie religii jako czegoś do „skonstruowania” wtórnie niejako i poza odniesieniem do rzeczywistości samoistnej. To wątki chyba najsilniej w tej książce odnoszące się zarówno do rzeczywistości objawienia i zarazem do realizmu właściwego między innymi tradycji tomistycznej (s. 99). Tezy te jednak są bardzo ostrożnie formułowane i wydają się raczej skierowane przeciwko nadawaniu ideologiom statusu religii, aniżeli przeciwko poważnej refleksji nad charakterem pierwotnego doświadczenia religijnego.

Tomasz Kupś